

# TYGODNIK POLSKI

## MATERIAŁY OBOZOWE

**Rok I (III)****Budapeszt, niedziela 3 października 1943****Nr 11 (38)**LEON KALTENBERGH

# Zgon humanisty

*Wiadomość o śmierci J. Kleinera doszła na Węgry w lipcu 1943 r.*

Nazwisko Juliusza Kleinera jest znane nie tylko polonom i nie tylko tym, którzy musieli się zetknąć z jakąkolwiek stroną jego naukowej działalności. Kleiner znany był przede wszystkim jako jedna z najbardziej reprezentatywnych postaci polskiej humanistyki współczesnej, jako jeden z tych, którzy znani byli, cenieni i uznawani przez europejski świat humanistyczny. Przejmując już w Polsce Niepodległej katedrę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, Juliusz Kleiner stawał się bezpośrednim jakby kontynuatorem tej linii, którą humaniści naszej specjalnie zaś literaturoznawstwo, wyznaczyli jego poprzednicy tej miary co Chmielowski czy Pilat. Obok ścisłości historycznej dyscypliny — jak to się miało z Pilatem — działać także miała czujna ambicja metodologiczna tak charakterystyczna dla postawy badawczej Piotra Chmielowskiego. Kleiner wzbogacał tę badawczą tradycję jeszcze o jeden element. Metodologiczne, stylistyczne czy porównawcze studia Kleinera, jego znane powszechnie wielkie prace monograficzne oprócz tego, że są poważnym wkładem do polskiej wiedzy o literaturze, są także tworem niepośledniego artysty.

Juliusz Kleiner urodził się w r. 1886-tym we Lwowie. Tu także skończył szkołę średnią i tu odbył studia uniwersyteckie, rozpoczęte w roku 1904-tym. Tak w gimnazjum jak i w czasie pobytu na uniwersytecie zwracał uwagę swymi wybitnymi, niemal polihistorycznymi zdolnościami. Oprócz literaturoznawstwa studiował gruntownie filozofię ścisłą, filozofię klasyczną, a także historię, szczególnie zaś interesowały go kwestie metodologii nauk humanistycznych, czego wyrazem stały się późniejsze wykłady uniwersyteckie.

Wcześniej rozpoczyna pracę naukową. W roku 1911-tym ukazują się zebrane w tomie osobnym przygodne studia i artykuły o J. Słowackim. W rok po tym — wielka monografia: »Zygmunt Krasiński — dzieje myśli«, nagrodzona przez Polską Akademię Umiejętności. Współpracuje w tym czasie w wielu

czasopismach, opracowuje spuściznę poetką Juliusza Słowackiego. Polemizuje też wówczas (w »Sfinksie«) z Ignacym Matuszewskim na temat zasadniczej koncepcji »Króla — Ducha«. Dzieło o Krasińskim, odsłania wartości postawy badawczej Kleinera, Jest to postawa przede wszystkim niezwykle czujna, sumienna i ścisła. Kleiner nie cofa się przed t. zw. »brudną robotą« filologicznego badania, identyfikowania i ustalania tekstów, jest nieustraszonym pionierem porównawczych badań, tak bardzo różnych od jałowej wpływologii większości przedstawicieli literaturoznawstwa. Staje się jednym z pierwszych w Polsce promotorów nowej, o typie badań literackich, zwracających się do najnowszych zdobyczy estetyki, teorii poznania, czy metafizyki. Kultura badawcza Kleinera opiera się na niezwyklej wszechstronności jego wiedzy humanistycznej — i nie tylko humanistycznej. Drobiazgowość, pracowitość i rzetelność materiałowego przygotowania równoważą się w jego robocie z trafną i wnikliwą oceną krytyczną — cecha to szczególnie ważna, jeżeli się pomyśli o ilości tylko materiału, jakim się posługiwać musiał opracowując twórczość jednego z największych naszych romantyków — Słowackiego. Europeizm koncepcji humanistycznych Kleinera zbliża go do G. Lanson'a, do żmudnej i jednocześnie tak pięknie i lekko podawanej w końcowych wynikach gigantycznej pracy Dibeliusa, Butler'a, czy do dziś jeszcze niezaprzeczonego ojca nowoczesnej humanistyki europejskiej — Vosslera. Toż właśnie Juliusz Kleiner dzięki precyzyjności swoich metod i przez niezrównane bogactwo porównawczego materiału sprawił, że polski romantyzm, będący dotąd przedmiotem zainteresowania tylko polskich uczonych pojawił się na porządku dziennym prac historyków literatury świata. Na Kleinera w swoich pracach literacko-historycznych powoływali się bez mała wszyscy literaturologowie-sławisci współcześni: Włoch — Eurico Damiani, Francuzi — Langlade i Fabre, Rosjanin — Czernobajow, Niemcy — Wiegler i Meyer i Anglik — Tracy Maugham. Jego studia z zakresu literatury i filozofii,

wydane w roku 1925-tym, a obejmujące kilka luźnych rozpraw, są najlepszym przykładem nie tylko wszechstronności, ale i głębi zainteresowań humanistycznych. Obok analitycznego szkicu na temat teoretyczno-poznawczego idealizmu Berkeley'a (jakkż jeszcze i dziś aktualny temat!), obok kilku studiów o charakterze historyczno-literackim, znalazła się tu także i rozprawka, próbująca postawić zagadnienie metafizycznego bytu dzieła sztuki literackiej. Zagadnienie to, tak ważne dla metodyki humanistycznej i dziś jeszcze, nie przestało być jednym z najbardziej zasadniczych i centralnych zagadnień z zakresu podstawowej problematyki literaturoznawczej. Poczatek dyskusji na ten temat u nas — zrobił właśnie Juliusz Kleiner. Taka sama prawie rola pioniera i promotora przypadła mu w udziale jako monograficie historyczno-literackiemu. Jego monografia o Słowackim jest istotnie i rzeczywiście monografią wyczerpującą całość zagadnień związanych z utworami Słowackiego. Wiązanie ich w szereg, rzucenie na europejskie tło, motywacja historyczna — i co najważniejsze — przejrzenie i przerebadowanie korektorskie zidentyfikowanych tekstów łączy się tu z niezwykłą, niespotykaną dotąd, artystyczną formą ujęcia. Obok zaś monografii stoi wspaniała owoc wieloletniej pracy — wydane przez Ossolineum zupełnie dzieła J. Słowackiego, czyniące zadość najbardziej szerokim wymogom »komentowanego wydania naukowego«. To nie stanowi to jeszcze całości dorobku naukowego Kleinera. Bo obok zainteresowań z zakresu naszego romantyzmu zajmuje się on także i literaturą stanisławowską (Krasickim szczególnie) zna dokładnie polskie osiemnastowiecze i barok, para się porównawczymi studiami z zakresu literatur obcych (ostatnia praca: »Z kręgu Mickiewicza i Goethego«). Na kilka lat przed wojną obecną ukazuje się nowa monografia historyczno-literacka: »Adam Mickiewicz« Ukazał się tylko tom pierwszy. Krytyka odniosła się do tej pracy Kleinera nierównomiernie. Widziano w monografii wady i usterki uwarunkowane niemożliwością dotarcia do wszystkich źródeł (tych zwłaszcza, które zostały zniszczone). Jest faktem, że pełniejszej, bardziej rzeczowej i konstruktywnej monografii Mickiewicza *nie dał przed Kleinerem nikt*. I jakkolwiek byli i tacy, którym bardziej odpowiadał Tretjak czy Kallenbach, to nie znalazło się nikogo, kto by mógł odmówić Kleinerowi pełnego zestawienia wyników dotychczasowych badań i ogólnych śmiałych i wnikliwych syntez. Taką była jego »Historia literatury polskiej«, napisana dla »historii literatur świata« Walzla w języku niemieckim. Podręcznik Walzla, wielotomowe dzieło, które znajduje się prawie bez wyjątku w wszystkich bibliotekach literaturoznawczych seminariów na uniwersytetach całego globu, podaje historie literatur, opracowane przez najwybitniejszych uczonych świata.

Juliusz Kleiner szkoły nie stworzył. Nie stworzył jej w sensie takim jak Chrzanowski, Pilat, czy przed nimi Chmielowski. Przypisywano to częstokroć eklek-

tyzmowi Kleinera. Przy wielości i szerokości zainteresowań i dziedzin, które obejmował swoimi badaniami, wytworzyło się u Kleinera stanowisko tak szerokie i — jednocześnie — tak tolerancyjne w stosunku do wszelkich metod badawczych, że jego uczniowie od pierwszego niemal kroku na terenie prowadzonego przezeń seminarium ręce mieli wolne i iść mogli za swoimi zainteresowaniami. Kleiner ograniczał się do dyskretnej korekty błędów faktograficznych i do rozszerzania i pogłębiania wybranej drogi. Sam jednak nie był eklektykiem. Uważał, że głównym zadaniem monografisty jest aproksymacja, przybliżenie i umotywowane twórczością pokazanie osobowości twórcy na tle większej i szerszej — też, rzeczy można »osobowości« epoki. Włączenie zjawisk: twórczość i twórca w ciąg historyczno-kulturalnych, zestawianych porównawczo procesów.

I chociaż nie stworzył szkoły, to przecież każdemu niemal ze swoich uczniów pozostawił wspaniałe dziedzictwo: nastawioną wszechstronnie i czujnie prawdziwie humanistyczną podstawę badawczą.

Nie jest to mało. Nie jest mało tym bardziej, że bezpośredni wpływ osobowości Kleinera, mimo pewnych dziwactw, mimo może zbyt dużego czasem odgradzania się od »spraw powszednich świata tego«, był wpływem bardzo poważnym i konstruktywnym.

Z tego »odgradzania« się, z pewnej »splendide isolation« robiono często — gęsto także zarzuty. Wspominano o nadto jakoby »elastycznej« postawie życiowej uczonego. Jeżeli w w stosunku do życiowej podstawy polskiego humanisty można by utrzymać ten zarzut, to dziś przekreślony on został przez śmierć Kleinera. Śmierć, dosięgła go jako właśnie *polskiego humanistę* i za to że nim był.

\*

Przez krótki okres profesury na Uniwersytecie Warszawskim dokoła wykładającego właśnie swego »Słowackiego« Kleinera skupiło się środowisko ówczesnej artystycznej młodzieży. W tych latach (1917—1919) nikt inny, tylko właśnie młodzi polonisci tego uniwersytetu, Zawistowski, Foye, Baliński i inni wydawać zaczęli »Pro Arte et Studio« — pismo, z którego rozwinął się po tym »Skamander«.

\*

Siedemnasta sala Uniwersytetu Jana Kazimierza lub częściej — nieistniejąca dziś w przebudowanym gmachu — czternasta. Elektryczność nie rozprasza mroku ciemnych kątów. Sala nabita po brzegi. Kleiner mówi o metodyce badań literackich, o Krasickim, może o wileńsko-kowięńskim okresie Mickiewicza. Wszystko jedno o czym. Chodzi tylko o przekonywujący, prawie gorący ciąg słownych zestawień, o których na salę padają kolejno pojęcia i obrazy. Mgliste miasto z za szafirowych szyb odplynęło w bardzo, bardzo odległą dalekość. W tej chwili czternasta sala oddycha powietrzem wysokich szklących ośnieżonych gór. Kiedyż odetchnie tym powietrzem znowu? . . .

DR. STANISŁAW BISZTYGA

# DEMOKRACJA

Na oznaczenie władztwa ludu, udziału obywateli w rządach państwem, na podstawie wolności osobistej, służyło i służy — omal od tysiącleci — słowo DEMOKRACJA. Jest ono pochodzenia greckiego, (demos po grecku znaczy lud lub naród, a kratein znaczy panować). Wyraz ten zdobył sobie obywatelstwo w słownictwie prawie wszystkich narodów kulturalnych, tak w języku potocznym jako też i naukowym.

Przez pewien czas zdawało się, że liberalno-demokratyczny ustroj państw na stałe zdobędzie cały świat cywilizowany. Podobieństwo ustrojów państwowych w świetle liberalno-demok. atycznego ideału rozpoczęło się uwydatniać już w XIX w i postępowało coraz wyraźniej naprzód. Podstawowe zasady tego ustroju jak zwierzchnictwo ludu, panowanie prawa, podział władzy, zabezpieczenie praw wolnościowych zdawały się coraz bardziej stawać wspólnym dobrem, wspólną własnością narodów. Autokracje musiały ustąpić pod naporem prądów wolnościowych, co więcej, nawet pełnia władzy absolutnej staroschodnich dynastji została ograniczona przez wprowadzenie urzędzeń wolnościowych.

Zrównanie i upodobnienie ustrojów państwowych wystąpiło również na terenie nauki jako wznagająca się dążność do ujednostajnienia prawnego obrazu cywilizowanego świata. Te ogólne zasady, które się powszechnie ugruntowały, doprowadziły w naukowej obróbce jakby do powszechnego międzynarodowego prawa państwowego. Przyczyniali się do tego uczeni autorzy całego świata cywilizowanego swoimi pracami naukowymi z tej dziedziny. Służyło to w poszczególnych państwach jako materiał do pozytywno-prawnego opracowania, a więc do przygotowania w ostatecznej formie przepisów prawa państwowego, ich uchwalenia i wprowadzenia w życie. Granice państw i kontynentów nie stanowiły przeszkody dla porozumienia się w tej prawnoustrojowej wspólnej mowie. Co więcej, dyskutowano wspólnie nad problemami ogólnej polityki ustrojowej np. na temat rozbudowy sądownictwa ustrojowego, sądownictwa administracyjnego, referendum itd. Wymieniano wzajemnie doświadczenia z tego zakresu, bądź to w międzynarodowych czasopismach, bądź to na międzynarodowych konferencjach, zjazdach stowarzyszeń prawniczych lub wreszcie na sesjach Międzynarodowego Instytutu Prawa Państwowego.

Od rozpowszechnienia i skonsolidowania się prawa konstytucyjno-państwowego, od tej wyrabiającej się jednolitości konstytucyjnej słusznie oczekiwano również wzmocnienia prawa międzynarodowego. Państwo konstytucyjne względnie liberalno-demokratyczne zdawało się być kamieniem węgielnym dla trwałej organizacji przyszłej wspólnoty narodów, a nawet stanów zjednoczonych świata z przyszłości. Dążenia te ułatwiała ta okoliczność, że przeważna część państw cywilizowanych dostosowywała swoja ustawy zasadnicze do tych sa-

mych ideałów demokratycznych. Ten postępujący proces demokratyzacji został w ostatnich czasach brutalnie przerwany.

Przez rewolucyjne prądy i przewroty polityczne w ostatnich dziesięcioleciach została ta, zdawałoby się, tak silna podstawa naruszona, a państwo demokratyczne zaczęło atakować z lewa i prawa. Antydemokratyczne doktryny wysnuły syntezę ustroju, państwa monarchyjnego, a właściwie tyranii w postaci dyktatury. Ta to nauka pod znakiem totalitarnym staje się «scientia militans», a to co dawniej uważanym było za zamach na najświętsze prawa wolnego obywatela, to obecnie zyskuje w pewnych kołach zaszczytny tytuł «wiedzy politycznej».

Przez ten ideologiczny rozpad zachwiane zostało także powszechne prawo ustrojowe. Kryzys został jeszcze spotęgowany w czasie wojny przez głoszenie hasła, że «inter arma silent leges» t. zn., że wśród zgiełku wojennego prawo ma milczeć. Ukazują się prace, w których ustrojowi demokratyczno-liberalnemu i jego urządzeniom usiłuje się odmawiać wszelkich podstaw bytu. Dowodzi się że mit o zwierzchnictwie narodu, na którym opierało się dotąd państwo demokratyczne, nie jest w stanie osiągnąć sprawiedliwości społecznej, a pluralizm partyjny względnie wielopartyjność państwa demokratycznego przeczy pierwotnemu pojęciu demokracji Rousseau'a, który według jej wrogów sam nawet jakoby był przeciwnikiem partyj politycznych, co jednak nie odpowiada prawdziwemu stanowi sprawy.

Partie polityczne w państwie demokratycznym są jednym z trzech bardzo ważnych urzędzeń tego ustroju obok przedstawicielstwa narodowego (parlamentu) i wolnej prasy. Wiadomo, że istnienie względnie tworzenie partii politycznych jest zjawiskiem, które gra ważną rolę w politycznej rzeczywistości demokracji. Ich uzasadnienie i potrzebę niejednokrotnie wykazywano z powodzeniem. Tę wielopartyjność właśnie przeciwnicy demokracji obrali sobie za cel swoich ataków, dowodząc jakoby istotnie była sprzeczną z prawdziwą demokracją.

Szczególnie niemieccy teoretycy współcześni w swoich agitacyjnych wywodach usiłują zaprzeczać prawo do przeciwstawienia państwa demokratycznego państwu, rządzonemu za pomocą dyktatury, ponieważ zachodnie demokracje wyrodziły się, — rzekomo — w pluralistyczne państwo partyj. *Pluralizm partyjny* zaś jakoby niezgodny z pierwotną ideą czystej demokracji Rousseau'a, a ponadto szkodzi on jedności i powszechności woli państwowej (volonté generale). Wysuwa się — jako ideał ustrojowy — jednolitą organizację, zdolną do szybkich i zdecydowanych, a równocześnie celowych rozstrzygnięć, wyrzekając się wolności osobistej dla siebie i dla drugich, utwierdzając grunt dla samowoli jednostki i jej otoczenia. Ustrój demokratyczny przez swoje urządzenia wolnościowe gwarantuje

obywatelską — integralnie z tym ustrojem złączoną — i do samowoli jednostek nie dopuszcza. Działa on może powolniej, ale też celem jego jest pokojowe współzycie i rozwój społeczny w atmosferze wolności i poszanowania godności człowieka, bez względu na przynależność rasową, klasową i. i.

Wspomniani auto. zy usiłują wykazać, iż twórca idei demokratycznej, J. J. Rousseau, był przeciwny partiom politycznym. Jako teoretyk rozprawia on wogóle o czystej demokracji, a nie tej czy innej konkretnej demokracji, dostosowanej do lokalnych warunków i słabej natury ludzkiej. Nie uwzględnia on partii politycznych w swoich rozważaniach, są one zbędne, gdyż tu wola państwowa kształtuje się bezpośrednio, jak np. przy stosowaniu referendum i dlatego wszelkie twory pośrednie, a więc i partie polityczne między jednostką, — a suwerenną, ustawodawczą wspólnotą są zbyteczne. Sam on wyjaśnia jednak, że taka czysta demokracja jest ideałem nie dla ludzi, lecz chyba nadludzi, jeżeliby tacy istnieli. Rousseau nie był on ani przeciwnikiem partii politycznych, ani ich nie wynalazł, ten problem — można powiedzieć — jest tak dawny, jak dawna jest organizacja państwowa i wynika z natury ludzkiej.

Należą więc partie polityczne do konieczności demokracji reprezentatywnej. Bez nich demokracja jako panowanie narodu i wolności obywatelskiej byłaby nie do pomyślenia. Nawet t. zw. dyktatorzy i pół dyktatorzy, którzy potępiali i potępiają wielopartyjność, sami chętnie posługiwali się i posługują formą i metodami demokratycznych organizacji politycznych.

Partie polityczne już przy wyborze przedstawicieli stwa narodowego spełniają funkcje nie do zastąpienia i dlatego *w ordynacjach wyborczych prawo je uwzględnić*, uważa je za warunek, prawidłowego postępowania wyborczego. Ale i poza wyborami potrzebne są organizacje, któreby pośredniczyły między jednostką a przedstawicielstwem. W nich ucieleśniają się niekiedy wielkie idee polityczne, z których przedstawicielstwo narodowe może czerpać. Bez partii byłby niemożliwy ciągły kontakt (społeczeństwa) narodu ze swoim przedstawicielstwem. Tam więc, gdzie istnieje demokracja reprezentatywna, tam muszą istnieć partie polityczne, a więc i pluralizm partyjny nie jest sprzeczny z demokracją względnie państwem demokratycznym.

Według Rousseau'a pełnia władzy suwerennej przysługuje zawsze, niewątpliwie całemu narodowi. Władza wykonawcza nigdy najwyższą być nie może w ustroju demokratyczno-wolnościowym, lecz zawsze jest pochodną od władzy ustawodawczej i wobec niej odpowiedzialną.

Przeciwnicy ustroju demokratycznego twierdzą, że wielopartyjność jest także dlatego niezgodna z demokracją, ponieważ powoduje zbytne różniczkowanie społeczeństwa na zdecydowane sprzeczności i przeciwieństwa partyjne, co dla państwa tego typu jest szkodliwe. Jednakże doświadczenie wykazało, że prawdziwa demokracja nie znosi trwałych przeciwieństw w obrębie społeczności państwowej, aczkolwiek przeciwieństwa przejściowe

są nieuniknione. Nie powinny one jednak utrwalać się t. zn. nie powinno dojść do konsolidacji, pewnej oznaczonej sytuacji przeciwieństw międzypartyjnych. Muszą one natomiast być stale rozwiązywane kompromisowo, a by w innej formie wystąpić znowu na widownię, a dzisiejsi adwersarze muszą się jutro odnaleźć, aby wystąpić w nowej sytuacji politycznej. Tylko przy takiej ciągłej fluktuacji przeciwieństw przestają one być niebezpieczne. Istnienie partii politycznych jak wykazuje doświadczenie, jeszcze nie oznacza konieczności usztywnienia przeciwieństw.

W demokracji reprezentatywnej wielkie znaczenie posiada *dyskusja i kompromis*. Kompromis, wyłaniający się dyskusji w postaci opinii, celów i idei, jest właściwym systemem europejskiego państwa demokratycznego. Gdzie natomiast istnieje brak woli do porozumienia, gdzie nie ma możliwości rzeczowej dyskusji, tam z żelazną konsekwencją sens walki partii politycznych zmienia swoje oblicze. Wówczas już nie szuka się dyskusji z przeciwnikiem politycznym, nie usiłuje się przekonywać, lecz poprostu usiłuje się zmusić go do milczenia. Walkę poglądów i kompromis zastępuje się wyłączną walką o władzę i postulatem zniszczenia przeciwnika. Dyskusja z drugim i zgoda na kompromis — wcale jeszcze nie oznacza, aby się swoje poglądy i przekonania porzucało lub w nie wątpiło. Warunkiem bowiem wszelkiej demokracji jest, *aby jeden drugiego szanował i uznawał w dyskusji*. Do tego atoli potrzebne jest pewne nastawienie tolerancyjne, co — jak wiadomo — w innych innych ustrojach jest nie możliwe.

Pozostaje sprawa dążenia do utrzymania pośredniczącego charakteru partii politycznych, jako środka do wyeliminowania przedstawicielstwa narodowego. Nie ma tu jednak jakiegoś typowego systemu, który możnaby ująć w jednolitą formułę. Jest to przede wszystkim kwestia nastawienia duchowego, obywatelskiego wychowania i umiłowania wolności dla siebie i dla drugih.

Genialny pomysł Montesquiusza, że całość władzy państwowej ma być podzielona na trzy części to jest na władzę prawodawczą względnie ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą zmierza, aby nie dopuścić do zjednoczenia całości władz w ręku jednego człowieka lub kliki, gdyż to według historycznie stwierdzonego następstwa wypadków wiedzie nieuchronnie do zniszczenia wolności obywatelskiej. Jeżeli jednak obywatele ze spokojem przyjmują zamach jednostki lub grupy na swoje prawa, to oznacza, że nie doceniają prawdziwej wolności, że nie są społeczno-politycznie dostatecznie wyrobieni, a tym samym, że brak wśród nich warunków dla istnienia prawidłowego ustroju demokratycznego.

Zagadnienie demokracji ulega zmianom, a utrzymanie i rozwój tego ustroju nie jest ani łatwym ani prostym. Jest to może nie tylko kwestia reform, dotyczących urzędzeń demokratycznych, ile raczej kwestia reformy ducha obywatelskiego, a więc poczucia liberalnego nastawienia duchowego osiągalnego przez odpowiednie wychowanie, przez zagwarantowanie urzędzeń wolnościowych i przez lojalne dążenie do ujmowania wszelkich zagadnień publicznych z punktu widzenia nadpartyjnego.

JANUSZ JASIEŃCZYK

# W A T E R

Woda. Słodka woda do picia, do prania, do mycia, do kąpieli, do kuchni. Czy wogóle warto pisać o niej? Czy wy, ludzie stamtąd, spoza pustyni, wiecie, co to jest woda, czy myślicie o niej?

Nie, z pewnością nie. Nie potrzebujecie myśleć o wodzie, jak nie myślicie o powietrzu. Jest powietrze — jest woda.

Dużo wody, słodkiej wody: przelewa się w rzekach, potokach, jeziorach, filtrach, wieżach ciśnień, basenach. Wielkie i małe miasta, osady, wioski, obozy wojskowe, nawet chaty górskie czy górskie koliby mają jej dosyć.

Szumi w rurach, z pluskiem wlewa się do wanien — gorąca parująca, rozkoszna. Leje się z kranów, napęlnia naczynia kuchenne, balie pełne mydlin, z pluskiem oblewa nagie ciała, przeżące się pod chłodną pieszczotą natrysków, przyjmuje w luksusowym basenie ciało zgrabnego pływaka.

Czasem przybiera postać pary: porusza maszyny, czyści tkanki skórne w tureckich, paryskich, rosyjskich łaźniach. To znowu staje się lodem, aby chłodzić ludzkie posiłki, być wrzucana do whisky, mazaru, mrozić kawę, mięso, jarzyny.

Pełno jej wszędzie. Z domieszką różnych składników lub chemikaliów staje się lemoniadą, oranżadą, albo poprostu wodą sodową. Stoi w sklepach i budkach. Równe rzędy większych i mniejszych butelek z kolorowymi etykietami. Syfony: małe, duże, olbrzymie mosiężne balony.

Pełno jej wszędzie. Nie potrzeba o niej myśleć. Jest jak powietrze: niewidoczna, niepostrzegalna — choć tak niezbędna, nieodzowna do życia.

Jest tak banalna, tak pospolita, że gdy jakiś prelegent nudzi i po próżnicy miele językiem, mówicie: »Leje wodę«. Gdy literatowi nie uda się felieton, lub autorowi komedia — mówi się: »Woda«. Woda, to nic.

Oj ludzie, ludzie, jak wy krzywdzicie wodę!

— Woda! Woda! Drużyny po wodę!

Podoficer gospodarczy nie potrzebuje dwa razy powtarzać tego okrzyku. Już dobrą chwilę było słychać silnik zbliżającej się ciężarówki. Dyżurni — dzisiejsi kucharze poszczególnych drużyn — dawno już poprzynosili wodniki pod schron dowódcy plutonu. Ustawili je rzędem, drużynami, dla zabezpieczenia kolejności. M. z 7-ej drużyny martwi się, bo jest dzisiaj ostatni — może nie starczy wody, może dostanie zaledwie trzy wodniki?

Zajechał samochód. Z mroków nocy wysuwają się tajemnicze postaci — jest ich dwanaście, choć drużyn tylko cztery na beczkę. Przy rozdziale wody nigdy nie brak ochotników: może uda się ukraść coś do manierki, do mycia?

Plutonowy P., ogromny Poznańczyk, zeskakuje z wozu.

— Ale dzisiaj dostaliśmy ognia! Niech to piorun spali! Trzy pociski wybuchły o jakie dziesięć metrów od wozu, gdy mijaliśmy horyzont. Sukinsyny, macają drogę — nawet po nocy.

Nikt na niego nie zważa. Sam sobie winien: za wcześniej wyjechali. Dwóch ochotników jest już na »lorze«. Tył wozu otwarty. Żelazna beczka zaraz stoczy się na piasek pustyni: uwaga, odsunąć się.

Pac. Już jest. Kapral, »mistrz« od wody, z nabożeństwem bierze klucz od P., odkręca metalową nakrętkę. Służbowi z drużyn i wolni od służby ochotnicy kucają wkoło. Wzrok wszystkich skierowany na beczkę i »arcykapłana«. Przy blasku księżycy wygląda to jak jakiś tajemniczy obrządek. Czyciele wody czy co u licha?

T. zdjął już nakrętkę, zręcznie nurza w otwór gumową rurkę. Służbowy z 8-ej dużyny — dziś pierwszy w kolejce — podstawił wodnik, bierze do ust rurkę. Ciągnie długo, polyka trochę wody, ostrożnie kieruje koniec rurki do otworu wodnika. Na zasadzie lewara, woda przelewa się do wodników. Jedna za drugą przesuwają się metalowe bańki, białe lub zielone — każda z czarnym napisem: »Water«.

Woda. Leje się woda. Woda na następny dzień pracy i walki. Wczorajsza pusta beczka już załadowana na wóz. P. już ma odjechać już nogę postawił na stopniu szoferki. Nagle odwraca się i mówi cicho ale wyraźnie, złowieszco:

— Oszczędzajcie, koleczy. Jutro słona woda.

Wskakuje i odjeżdża, żegnany dosadnymi przekleństwami. Chytry to dyplomata: tę wiadomość zostawił na pożegnanie.

Tak to mniej więcej, moi drodzy, odbywa się fasowanie wody w Tobruku lub gdzieś w pustyni zachodniej.

Oczywiście, nie zawsze jednakowo. Czasem wybuchają kłótnie lub gorące dyskusje. Jedna drużyna przysądza drugiej, że dostała o pół wodnika więcej. Ktoś komuś zarzuca, że zwędził manierkę wody. Nie robi się z tego wielkiej kwestii, nie donosi nikomu, choć za kradzież wody grozi na pustyni surowa kara, teoretycznie do kary śmierci włącznie. Naogół ludzie rozumieją, że każdy chce mieć trochę wody dla siebie. Zwykle się to jakoś układa, i ostatecznie wszyscy są zadowoleni.

Ale gorzej, gdy czasem, na jakiejś wysuniętej pozycji, nie można dostać wody przez dwa dni. Zdarza się to rzadko, ale się zdarza. Niedobrze, gdy pod skwarem afrykańskiego słońca, wśród wstrętnego pyłu, idącego gdzieś z Sahary, zabraknie wody w manierce. Wprawdzie kolega nigdy nie odmówi łyka, ale czasem w całym plutonie nikt nie ma już wody. A z pustego i Saomon nie naleje.

Wody... wody... wody...

Są różne rodzaje wody na świecie. Są dobre, zię, niezłe i gorsze. Jest słynna woda wiedeńska, idąca rurami przeszło 100 km z gór spod Semmeringu. Jest marna woda łódzka, doskonała zakopiańska. Była świetna woda w Warszawie, dopóki nie zhudowali szybkobieżnych filtrów. W Krakowie do każdego posiłku podają wodę. Ale nie przez szacunek do niej — to tylko stary zwyczaj »wiedeński«.

Są też różne wody w Tobruku.

Przed wszystkim jest woda morska. Do mycia i prania specjalnym mydłem morskim. Tej jest pod dostatkiem.

Takby się przynajmniej zdawało. Przecież Morze Śródziemne, to nie balia do prania, to kilka ładnych metrów sześciennych wody. Nawet bardzo ładnej wody, zwłaszcza podczas zachodu słońca lub podczas wschodu, gdy mieni się cudownie wszystkimi barwami tęczy. Można nawet się w niej utopić. Kilku już to zrobiło, i morze nie wystąpiło z brzegów: jest bardzo duże.

Ale cóż z tego? W Tobruku z wody morskiej korzystać mogą dowoli tylko żołnierze zatrudnieni w porcie, parę kompanij pierwszej i drugiej linii, stojących na odcinku zachodnim i wschodnim na dwóch krańcach ogromnego łuku, na którym rozłożone są umocnienia twierdzy.

Ale gdy stoisz, bracie, pod Medaurem czy na Palestino, czy w ziemiankach na Bianca, czy wreszcie gdzieś indziej na którejkolwiek linii — niewiele masz z tej la urowej wody śródziemnomorskiej! Do nas przywieźli ją zaledwie parę razy — zamiast słodkiej, gdy punkty wodne musiały obsłużyć nowe transporty wojska, i może ze trzy razy sprowadziliśmy ją na trzecią linię korzystając z zaoszczędzonej benzyny.

A przepraszam, raz jeszcze, przed wyruszeniem na pierwszą linię, zawieziono nas do kąpieli. To było wielkie święto. Była woda słona, ale zmywająca brud, chłodząca.

Woda... woda...

Jest inny gatunek wody w Tobruku. Półśładka. Zapoznaliśmy się z nią już pierwszej nocy, gdy po wylądowaniu okrętu i odwiezieniu na pustynię podano nam herbatę. To było trochę wstrząsające, trochę komiczne. Płyn ten był gęsty prawie jak oliwa, nieokreślonej barwy, o dziwnym, słono-słodkawym smaku. Umówiono się, że to herbata. I tak zostało.

Później przyzwyczaiłem się do tej cieczy i przekonałem się, że jest istotnie odwarem doskonałych herbacianych liści na półśładkiej wodzie tobruckiej. Z początku jadaliliśmy z kompanijnej kuchni gotowane na niej posiłki. Były bardzo słone, ale smakowały — mieliśmy wtedy dobry apetyt. I popijaliśmy półśładką wodą.

Później przekonałem się że należy unikać picia surowej wody. Piliśmy zato dużo herbaty i włoskiej zdobyczej kawy, gotowanej na słodkiej wodzie.

To trzeci, arystokratyczny, bo przeznaczony w zasadzie tylko dla drugiej (niebieskiej) i pierwszej (czerwonej) linii — gatunek wody tobruckiej. Czy jest naprawdę słodka?

No, nie bądźmy przesadni. Coprawda w miarę przyzwyczajenia wydawała się nam coraz lepsza. Powoli zapominaliśmy o tym, że jeśli pochodzi z któregoś z nielicznych w Tobruku źródeł, pełna jest odkażających chemikaliów.

— Woda! Przyjechała woda! Drużyny po wodę!

Patrzę na równy szereg wodników, na mistrza ceremonii, odkręcającego beczkę, na mistrza »kipera«, ciągnącego rurką wodę jak stuletnie wino. Patrzę i myślę. —

To śmieszne. Musiałem przekradać się przez kilka granic i przebyć tysiące kilometrów lądem i morzem i przybyć aż tu do Tobruku, aby dowiedzieć się, że istnieje woda, że jest pożywnym żywiołem życia i śmierci. Że można się o nią kłócić, kraść ją nawet, przy wielkim pechu być za to rozstrzelanym. Czy rzeczywiście musiałem? I nagle:

— Woda! Skąd weźmiemy wody? Trzeba zdobyć wodę!

Ach tak: to już było. Ja to już przeżyłem. Wielotysięczna tragiczna »armia« Umiastowskiego, wyruszająca dn. 7 września 1939 r. z Warszawy na wschód. Tłumy młodych mężczyzn, szukających swoich formacji, spragnionych broni, walki, tysiące, setki tysięcy mężczyzn, kobiet, dzieci. Pałace się miasta, wście. I wypite studnie. Tak, wypite studnie

— Wody! Dajcie wody!

I jeszcze: te skulone postaci, przekradające się pod gradem bomb i pocisków artyleryjskich, wśród obłoków dymów, w ogniu pożarów. Z kubłami, garnkami, dzbanami. Do Wisły. Po wodę. Szamotania, przekleństwa — czasami krzyk, czasem jęk — jakaś kobieta rozerwała bomba — tam dziecko przypląciło życiem walkę o wodę. Pochowali je potem na skwerze.

To obłąkana Warszawa. Filtry zniszczone. Brak studnie. Domy płoną niegaszone. Ludzie walczą o wodę. Woda... woda... woda....

Dobra była woda w Tobruku. Dowozili ją regularnie. Nie trzeba było o nią walczyć. »W. P.«

Tadeusz Fangrat

## CZĘSTO WRACAM...

O Matko!

*Często wracam do prac Twych w fabryce koronek: przybywa ze wsi ojciec, znajduje w Tobie żonę, po roku macierzyńskie utrapienie z Tadkiem powiększa jarzmo żony, robotnicy, matki, (obitośnie chorej matki z pierśią ropiejącą, wśród czterech ścian wzgardzonych przez pogodę słońca) Ojca zabiera wojna, przejmiess jego rolę; brak chleba, w izbie zimno — wiem, musiało boleć; zwyczajem smutnych niewiast na łódzkim przedmieściu troska niewyczerpana życia Twego treścią*

*.. Często wracam do prac Twych w fabryce koronek, koronki trud przetworzył w cierniową koronę, cierne dalej kłóć będą zatroskane skronie, zanim Cię przed ciężarem życia nie obronię.*

MARIAN KOGUT

# C Y K L O T R O N

Latem 1939 r. widmo wojny zawisło nad światem. W dywizjach i pułkach czyszczono broń, w warsztatach przyspieszano remonty, wypróbowywano nowe maszyny.

W tym czasie Dr. Ernest O. Lawrence stał w laboratorium do badań nad ciałami promieniotwórczymi w uniwersytecie kalifornijskim w Berkeley obok święte oddanej mu do użytku i zbudowanej wedle jego pomysłu nie mniej kosztownej od największego bombowca maszyny — maszyny do bombardowania i rozbijania... atomów. Ten młody stosunkowo uczony, który w 38 roku uzyskał nagrodę Nobla marzył o przemianach pierwiastków chemicznych, o wyzwoleniu ogromnych zasobów energii, zawartej wewnątrz atomów i oddaniu wyników swoich zamierzeń i osiągnięć do użytku ludziom całego świata. Do zrealizowania tych celów zbudował on cyklotron. Maszyna to ciężka — wagi około 225 ton.

W zasadzie cyklotron składa się z dwóch półkolistych, płaskich, metalowych pudełek, od siebie bardzo dokładnie izolowanych szczeliną. Łatwo to można zrozumieć, jeżeli wyobrazimy sobie płaską, metalową puszkę — dajmy na to — z konserwy, o średnicy około 150 cm, przekrojoną wzdłuż średnicy na dwie części, przy czym części te są na kilka cm od siebie odsunięte. Te półkoliste części nazywają się duantami. Półkoliste pudła, czyli duanty łączy się z wtórnym uzwojeniem silnego transformatora, t. zn. jeden biegun uzwojenia łączy się z jedną, drugi zaś z drugą duantą. Gdy przez pierwotne uzwojenie transformatora przepływa zmienny prąd o dużym natężeniu, to w szczelinie między duantami pojawia się silne pole elektryczne o zmiennym kierunku, t. zn. między duantami powstaje zmienne napięcie elektryczne. Obie duanty, niby duże, puste półkrażki, umieszcza się w bardzo silnym polu magnetycznym ogromnego elektromagnesu, tak, że linie magnetyczne przebijają półkoliste podstawy tych półkrażków prostopadle. Bardzo ważną rzeczą jest to, że linie magnetyczne muszą być do siebie równoległe t. zn. pole magnetyczne musi być jednorodne. Oba pudła, t. j. obie duanty umieszczone są w jaknajdalej posuniętej próżni. We środku między duantami umieszcza się jakieś źródło dodatnich jonów, t. zn. atomów jakiegoś pierwiastka chemicznego (najczęściej gazowego), od których to atomów oddalono sztucznie zewnętrzne elektrony. Pozostała część atomu posiada wtedy dodatni ładunek elektryczny. W momencie, gdy między duantami pojawi się pole elektryczne ze środka wytryska wąski strumyczek jonów, pędzonych w kierunku pola. Jony, wpadłszy do wnętrza pudła, gdzie pole elektryczne nie istnieje, poruszałyby się po linii prostej, w nadanym im przez pole kierunku, gdyby nie to, że muszą równocześnie przebiegać przez pole magnetyczne i przetrwać linie magnetyczne w poprzek. Na skutek tego odchy-

lają się od pierwotnego kierunku ruchu i — zataczając linię krzywą — powracają z powrotem z przeciwnej strony do szczeliny między duantami. W chwili jednak, gdy mają wpaść do szczeliny, pole elektryczne zmienia kierunek. Zmiana kierunku pola powoduje przyspieszenie jonów. Jony uzyskawszy większą prędkość, wpadają do drugiej duanty, gdzie powtarza się to samo zjawisko, t. zn. jony — wyzwolone z pod działania pola elektrycznego wewnątrz duanty — podlegają działaniu pola magnetycznego, na skutek czego zakreślają krzywą, tym razem o mniejszej krzywiznie i znowu wpadają do szczeliny między duantami. Zanim jednak przebiegną przez szczelinę pole elektryczne zmieniają kierunek, co powoduje powtórne ich przyspieszenie. (Rysunek.) Po wielokrotnym przebieżeniu przez szczelinę i doznaniu za każdym razem silnego impulsu, niby uderzenia, jony zataczając spiralną linię, wypadają w końcu przez specjalne okienko z ogromną prędkością, dochodzącą do prędkości światła, do naczynia, napełnionego substancją, której atomy chcemy poddać bombardowaniu i rozbiciu.

Na całym świecie istnieje dzisiaj zaledwie około 140 cyklotronów, w przeważnej liczbie w Stanach Zjednoczonych A. P.

Wyniki, osiągnięte przy użyciu cyklotronu, są nadspodziewanie duże. Otóż w żelazie poddanym bombardowaniu strumieniami jonów, przyspieszanych w cyklotronie, zachodzą następujące przemiany: część atomów żelaza ulega rozbiciu — tworzą się z nich atomy tak cennego w przemyśle wojennym pierwiastka manganu albo kobaltu — inne atomy żelaza nie zmieniają się — co prawda — swej wewnętrznej struktury, ale uzyskują przy tym osobliwą i ze wszech miar godną uwagi własność — stają się one promieniotwórcze. Tym samym sposobem można z platyny otrzymać iryd albo złoto.

Nie mniej zadziwiający jest fakt uzyskania przy użyciu cyklotronu nowego pierwiastka, dotychczas chemii nieznanego, którego istnienie przewidywano tylko na podstawie teoretycznych fizyko-chemicznych wywodów. W tablicy pierwiastków Mendelejewa brakowało pierwiastka o numerze porządkowym 85. Przez bombardowanie bizmutu, którego numer porządkowy jest 83, jonami helu, o numerze porządkowym 2, uzyskano nowy pierwiastek, nowe ciało, którego własności pokrywają się z przypisywanymi temu pierwiastkowi własnościami.

O wiele bardziej interesującą jest sprawa rozpadu atomów pierwiastków ciężkich pod wpływem tych pocisków jonowych, posiadających niezwykłą prędkość, nabytą w cyklotronie. Pierwiastek bombardowany takimi pociskami, rozpada się na dwie lub więcej części, z których jedną stanowią atomy ciała lekkiego, jak wódz albo hel, druga zaś część staje się promieniotwórcza.

Część ta posiada pod względem promieniotwórczości identyczne własności z własnościami radu, tego drogo-cennego, 75.000 razy droższego od złota, ciała, używanego przy leczeniu raka. Zupełnie identycznie jak rad część promieniotwórcza wysyła przenikliwe promienie. Na jedną rzecz jednak trzeba zwrócić tu uwagę: działanie tą drogą otrzymanych ciał promieniotwórczych nie trwa tak długo, jak działanie radu. Natężenie promieniowania każdego ciała promieniotwórczego z biegiem czasu spada. W nauce przypisuje się każdemu ciału promieniotwórczemu pewną charakterystyczną dla niego wielkość, t. zw. okres połowicznego zaniku. Jest to okres czasu, w którym określona ilość danego pierwiastka zmniejsza się do połowy. Okres połowicznego zaniku dla radu n. p. wynosi 1580 lat, t. zn. z 1 grama radu po upływie 1580 lat otrzymamy tylko  $\frac{1}{2}$  grama radu oraz około  $\frac{1}{2}$  grama innych ciał. Ciała, o uzyskanej sztucznej promieniotwórczości, posiadają o wiele mniejszy okres połowicznego zaniku; tlen oraz glin (aluminium) kilka minut zaledwie, mangan 310 dni, sód zaś około 3 lat. W jednym tylko wypadku dla węgla stwierdzono dłuższy okres połowicznego zaniku przy nabytej sztucznej promieniotwórczości, a mianowicie około 1000 lat.

Pierwiastki, o uzyskanej sztucznej promieniotwórczości, nie tracą tej własności przy połączeniu ich w związki chemiczne z innymi pierwiastkami. Ma to ogromne znaczenie przy zastosowaniu ich do leczenia różnych schorzeń organizmu ludzkiego czy zwierzęcego. Stąd słusznym jest twierdzenie, że od chwili wynalezienia mikroskopu, największym wynalazkiem w dziedzinie środków pomocniczych w medycynie poza lampą Röntgena jest cyklotron. Przy groźnej chorobie szpiku kostnego, t. zw. polycytemii, stosuje się z natychmiastowym dodatnim skutkiem sztucznie promieniotwórczy fosfor.

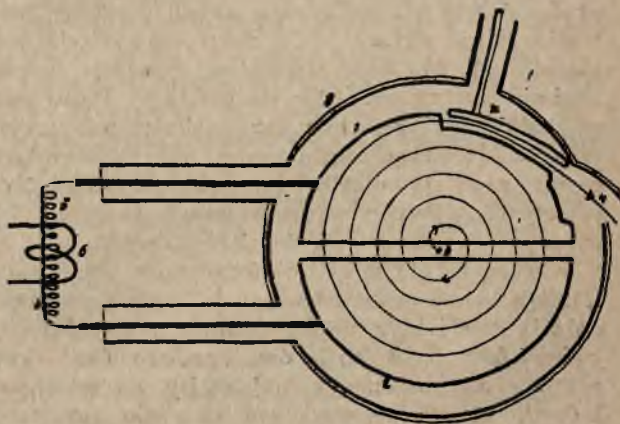
Przy schorzeniu tym wytwarza się nadmierna ilość czerwonych ciałek krwi. Wytwarzają je komórki szpiku kostnego, które to komórki rozwijają się w nadmiernej ilości. Małe dawki sztucznie promieniotwórczego fosforu powodują zanik komórek, rozwiniętych ponad tę przeciętną, normalną ich ilość. Z dodatnim skutkiem działa też sztucznie promieniotwórczy fosfor przy innym, dotychczas nieuleczalnym, schorzeniu szpiku kostnego, t. zw. leukemii (białaczce). Schorzenie to polega na zwyrodnieniu białych ciałek krwi. Sztucznie promieniotwórczy fosfor działa hamująco na rozwój zwyrodniałych komórek i z czasem prowadzi do wyleczenia pacjenta. Wiele innych ciał sztucznie promieniotwórczych zostało już z dodatnim skutkiem zastosowanych przy leczeniu wielorakich schorzeń, w szczególności raka. Najczęstszym związkiem, w którym występuje sztucznie promieniotwórczy fosfor, stosowany w medycynie jest fosforan sodu. Sztucznie promieniotwórczego wapnia używa się do dokładnych pomiarów zawartości wapna w kościach, zębach i innych częściach organizmu.

Diamant bombardowany strumieniami jonów, przyspieszonymi w cyklotronie uzyskuje na trwałe piękną barwę zieloną.

Gdy w roku 1919 udało się wielkiemu fizykowi angielskiemu lordowi Rutherford sztucznie przemienić azot w tlen, świat naukowy ogarnęła istna gorączka czynienia eksperymentów w przewidywaniu, że uda się zrealizować marzenia alchemików średniowiecznych — przemiany żelaza w złoto. Dzisiaj po dwudziestu kilku latach zaledwie sprawa przemiany jednych pierwiastków chemicznych w inne jest już zagadnieniem, które przepracowuje się na drodze teoretycznej i które ujmuje się w równania matematyczne, pozwalające na przewidywania, jakie nowe pierwiastki chemiczne można z danego pierwiastka otrzymać.

Wiedza, a więc i ludzkość zdobyła w cyklotronie narzędzie, które pozwoli jej w niedalekiej już może przyszłości ziszczyć marzenia i uwieńczyć powodzeniem wysiłki uczonych dzisiejszej doby w dziedzinie wywołania energii wewnętrznej atomów. Zjawiska bowiem samorzutnego rozpadu atomów, wyrazem którego jest naturalna promieniotwórczość niektórych pierwiastków a dalej wywody teoretyczne wykazują, że atom zawiera ogromne zasoby energii. Jeżeli by się udało n. p. wyzwolić energię wewnętrzną, zawartą w atomach, które mieszczą się w jednym litrze wody, to dzięki temu uzyskalibyśmy tyle energii, że wystarczyłoby to do poruszania takiego kolosa morską, jak 65.000 tonnowy statek Queen Elizabeth, z Europy do Ameryki w ciągu pięciokrotnej podróży.

Może po wojnie, gdy ludzkość swoje zasoby energetyczne i wysiłki skieruje znów na drogę utylitarną, na drogę niesienia pomocy bliźniemu, większe i mniejsze szpitale — tak jak dziś wyposażone zostały w lampy Röntgena — wyposażone zostaną w cyklotrony do produkowania ciał sztucznie promieniotwórczych, które by chorym przynosiły ulgę i przywracały zdrowie.



#### OBJAŚNIENIE :

1 i 2 — duanty. 3 — źródło strumieni jonowych. 4 — strumień jonów po zatoczeniu spirali. 5 — wtórne uzwojenie transformatora. 6 — pierwotne uzwojenie transformatora. 7 — kondensator. 8 — zewnętrzne ściany cyklotronu. Linie magnetyczne przechodzą prostopadle do płaszczyzny rysunku.

JOLANTA LEIWA

## W KALEJDOSKOPIE

*Niedzielny wieczór, cichy wieczór.  
Szemrzące drzewa na ulicy.  
Z ogrodów żabie chóry skrzeczą,  
stamtąd, gdzie kończy się przecznica.*

*Żółte są ściany, żółte meble,  
żółte rolety i podłoga  
i żółte są słomiane szczeble,  
po których pnieś się wciąż do Boga.*

*Zielone drzewa szepcą cicho  
w noc szmaragdowe tajemnice,  
zielone się zaśmiewa licho,  
w mroku zaspanej mej ulicy.*

*W wazonie błękitnieją kwiaty  
i nieba granat się rozjaśnia,  
a stary trup — księżyc szczerbaty  
błękitno — srebrne gada baśnie.*

*Czerwone w szklance kusi wino,  
czerwienią dziś znaczone drogi  
i na rowerze się wygina  
żandarm. Czerwone ma wyłogi.*

*Czerwona krew kroplami splywa  
po ściennej mapie Europy.  
W szynku vis á vis się wyżywa  
Krzykiem pijana banda chłopów.*

*Szarzyzną szarą, monotonna  
znaczą się moje dni nijakie  
i swoją szarą masą chłoną  
nieaktualne przyszłe szlaki.*

*Wieczór sinawo — fioletowy,  
niedzielny wieczór, obcy wieczór,  
zrzuca mi z pióra gorzkie słowa  
i chórem żab z bajorów skrzeczy.*

## STALIN A CERKIEW PRAWOSŁAWNA

Wśród wydarzeń polityczno-wojskowych we wrześniu pewne zainteresowanie zbudziło mianowanie metropolity Sergiusza patriarchą Moskwy i Wszechrosji. Szwajcarski »Journal de Genève« poświęca tej sprawie interesujący artykuł, który niżej zamieszczamy z małymi skrótami. Dziennik uważa fakt ten za znamienny dla wewnętrznej ewolucji Rosji i dla orientacji jej polityki zagranicznej.

»Wybór patriarchy, to znaczy najwyższego kierownika rosyjskiego duchowieństwa prawosławnego, równa się ze strony rządu sowieckiego oficjalnemu uznaniu Kościoła, a zebranie Świętego Synodu zaznaczy ponowne jego wprowadzenie w życie państwa. Wojna wywołała powszechne obudzenie świadomości narodowej i wyzwoliła siły oddawna przytłumione, co spowodowało, że bankructwo polityki antyreligijnej Sowietów zostało otwarcie przyznane i że Stalin, ten wielki oportunist, położył kres stanowi rzeczy, który nie odpowiadał wymogom chwili. Stosunki między Sowietami a Kościołem, które przeszły poważną ewolucję w ciągu 26 lat rządów komunistycznych zostały wyjaśnione

Rewolucja bolszewicka rozpoczęła się, jak Rewolucja Francuska sekularyzacją majątków duchowieństwa; Sowiety rozpoczęły przeciw religii kampanię, która była tym bardziej gwałtowna, im bardziej lud rosyjski był przywiązany do swoich tradycji i wiary. W swoim pragnieniu zduszenia wszystkich śladów carszemu, uczniowie Lenina zawzięli się na zburzenie potęgi cerkwi, która była jedną z podstaw carskich rządów. Tymczasem ani jednak przesładowania, ani zamknięcie czy

zburzenie licznych kościołów, ani też propaganda na rzecz religii świeckiej nie doprowadziły do usunięcia z życia narodowego tego czynnika, który był mocna zakorzeniony od wieków.

Kościół prawosławny, nie zginął w tej burzy. Duchowieństwo rozszczępiło się na szereg grup jak cerkiew wędrowna i cerkiew podziemna — które były organizacjami tajnymi — albo cerkiew, twór polityczno — kościelny inspirowany przez Sowiety, aby podzielić i osłabić kościół oficjalny. Po śmierci patriarchy Tichona, która nastąpiła w r. 1925, trzech kandydatów ubiegało się o stanowisko patriarchy. Dwaj z nich, którzy nie chcieli być narzędziami w ręku rządu, zostali uwięzieni; trzeci, Sergiusz, metropolita moskiewski, stał się faktycznie »locum tenens« patriarchy, rząd sowiecki nie chciał przywrócić tej godności. Związek głowy starej cerkwi reżimem popierającym bezbożników był żywo krytykowany w ośrodkach emigracyjnych. Nie uznały one Sergiusza, który obłożył je interdyktem. Uległość metropolity, która wiernym z zewnątrz mogła wydawać się zdradą, pozwoliła cerkwi prawosławnej na utrzymanie kontaktu z Kremlem, co miało przyczynić się w nieoczekiwanej mierze do wzmocnienia frontu wewnętrznego w wielkiej próbie 1940 r.

W rezultacie, kiedy wojna niemiecko-rosyjska wybuchła, metropolita Sergiusz który już w r. 1930 wprowadził do liturgii modlitwę za rząd oświadczył, że obrona kraju jest rzeczą nieodzowną, i użyczył swego moralnego poparcia Kremłowi. Stalin zrozumiał całą korzyść, którą mógł wyciągnąć z tej współpracy z cerkwią. Uważając, że Rosja toczy wojnę o narodowe wyzwolenie przeciw obcemu najeźdźcy, czerwony dyktator dołożył wysiłków, aby skupić przy tej sprawie wszystkie siły duchowe i moralne kraju. Stalin mógł

posłużyć się! ościółem tym lepiej, że 26 lat rządów sowieckich zerwało węzły łączące ten ostatni z dawnymi klasami kierowniczymi. Uznając oficjalnie cerkiew prawosławną i jego główny organ, Święty Synod, władca Rosji sowieckiej nadał z pewnym opóźnieniem konkretną treść artykułowi 124 Konstytucji Z. S. R. F. z 1936 r. o wolności kultów i propagandy antyreligijnej. Kościół, pozostając całkowicie oddzielony od Państwa, odnajduje swoją funkcję państwową, chociaż w postaci zupełnie różnej niż w czasach carskich, gdy władza doczesna i duchowa były ściśle związane.

Łatwo się domyślić, że Stalin, Mołotow czy Jarosławski, wódz bezbożników, nie stali się naraz wierzącymi. Nie wydaje się również, aby życie religijne w czerwonej armii zostało wzmocnione. Przybierając stanowisko bardziej liberalne wobec Cerkwi, sternicy Sowietów dążą za jednym razem do celu wewnętrznego i zewnętrznego: wzmocnienia frontu narodowego i poprawienia pozycji na Bałkanach. Po zręcznym użyciu panslawizmu przez przypomnienie słowiańskim narodom okupowanym, że Rosja jest ich matką, Kreml przygotowuje się do zwiększenia swego wpływu wśród nich, posługując się Cerkwią Wschodnią.

Przez ten nowy mistrzowski manewr, który wznawia dawne przymierze prawosławia z polityką imperialną, Stalin udaremni może wszelką próbę utworzenia »kordonu sanitarnego«, który straszy go i irytuje. Przygotowuje sobie w ten sposób ważny dostęp na Południe, nadając tradycyjnym zamierzeniom Rosji nową treść. Grając wszystkimi atutami Stalin jedna sobie prawosławie, które nie uważa już za niebezpieczne dla swojej polityki. W poczuciu, że powodzenie zbrojne wzmacnia ich pozycję wewnętrzną i wspiera plany zewnętrzne, rządy sowieckie mogą sobie dzisiaj pozwolić na luksus religijnej swobody.

## ALBANIA

Mieszkańcy dzisiejszej Albanii wywodzą się od starożytnych Pelazgów, których innym odgałęzieniem byli dawni Hellenowie, praojcowie greckiego narodu. Górzisty kraj wtedy ledwie mógł wyżywić swoich mieszkańców i uchodził za ognisko niepokoju groźne dla bogatszych i możniejszych sąsiadów. Za panowania Pyrrhusa, którego królestwo obejmowało poza Epirem także obecną Albanie, wojownicy albańscy zagrozili nawet potężde Rzymu. Dopiero po klęsce Pyrrhusa wschodnie wybrzeże Adriatyku podlega władzy Rzymian.

W okresie Cesarstwa Rzymskiego Morze Adriatyckie jest jednym z centralnych ośrodków ówczesnego świata, nad jego brzegami wyrastają nowe miasta, które szybko dochodzą do rozkwitu. Z portów w Poli, Salonie, Dyrrachium biegną szlaki handlowe w kierunku — Dunaju, Bosforu i Aten. Kiedy cesarz Dyoklecjan wybrał od słynny swój pałac miejsce na wybrzeżu, gdzie dzisiaj wznoszą się mury Splitu, nie szukał wyłącznie miłego wypoczynku i łagodnego klimatu, lecz obierał sobie

siedzibę, która, położona naprzeciw ładu macierzystego, a równocześnie u bram Wschodu i świata hellenckiego, pozwalała na głęboki wgląd w najważniejsze obszary świata rzymskiego.

W okresie podziału starego państwa Rzymskiego dwa odrębnie cesarstwa, Zachodnie i Wschodnie, Adriatyk traci swoje kluczowe znaczenie. Prawda że Rawenna w okresie bizantyńskim, a później Wenecja są dominującymi potęgami na morzu. Ale Wenecjanie są przede wszystkim kupcami, nie zaś zdobywcami; osiadają i zagospodarowują się na wybrzeżu, nie przenikając, z obawy ryzyka wojennego, w głąb kraju. Z drugiej strony, pomiędzy obu półwyspami, bałkańskim i apenińskim różnie wiary wnoszą przeszkodę nie do przebycia. Odtąd każde z dwu wybrzeży odbywa swoją drogę rozwoju oddzielnie. Kiedy nad głównymi dwoma czynnikami wschodniego zaplecza Morza Adriatyckiego, światem słowiańskim i kościołem bizantyńskim zapana Islam, ustanie wszelka dawniejsza jedność Adriatyku. Zamiast łączyć — dzieli on teraz; staje się granicą.

W XVII i XVIII stuleciu porty tureckie na wybrzeżu albańskim służyły jako schronienie piratom morskim. Europa ówczesna tyle wiedziała o tym kraju, że poza skałami otaczającymi wschodnie wybrzeże Adriatyku zaczynał się kraj związany z wspomnieniami wypraw krzyżowych. Politycznie i wojskowo była to prowincja turecka, nie budząca, żywszych zainteresowań gospodarczych. Walona i Durazzo były to porty bez ruchu handlowego a więc i bez znaczenia, ponieważ kraj leżący poza nimi pozbawiony był dróg komunikacyjnych. Strategiczna pozycja obu portów nie doszła jeszcze do świadomości europejskich mężów stanu. Dopiero otwarcie Kanału Suezkiego i szybki rozkwit trzech wielkich portów adriatyckich Wenecji, Triestu i Fiume — ponownie wysuwają zagadnienie albańskie na widownię. W czasach, gdy »chory człowiek Europy«, Turcja ottomańska, była czymś w rodzaju masy spadkowej, do której z wszystkich stron zgłaszano pretensje, Włochy zjednoczone skłonne do ciągłego, ambitnego rozszerzania zasięgu swoich wpływów zwróciły uwagę na Albanie. Jeden z byłych ministrów spraw zagranicznych Włoch powiedział z początkiem bieżącego stulecia, że: »Sprawy i prawa włoskie na Adriatyku zależą od przyszłości Albanii, kto będzie posiadał Walonę, będzie panem Adriatyku«. Wbrew konkurentowi austriackiemu, który usadowił się w Bośni, Hercegowinie i Sandżaku Nowo-Bazarskim łakomie spoglądał na wybrzeże albańskie, Włochy w tym okresie życzyły sobie Albanii samodzielnej, rezerwując dla siebie rolę pośrednika w udostępnieniu zdobyczy cywilizacji i kultury. Otwierały się perspektywy na urochomienie wielkiego szlaku komunikacyjnego z wybrzeża albańskiego do Salonik przez Ochrzędę Monastyr (Bitolę) bądź na południe od jeziora Ochrydzkiego przez Florinę. Obie drogi nie nastąpiły zbytniej wielkich trudności technicznych, trudności wynikały natomiast z innych źródeł: z gnuśnej bezczynności administracji sułtańskiej i z albańskiego partykularyzmu.

Poczucie wewnętrznej odrębności i wola jej zachowania były tymi czynnikami, które pozwoliły Albańczykom przetrwać wieki bez zatracenia indywidualnych rysów. Odrębność ich polega na swoistej organizacji społecznej. Podobnie jak ongiś Szkoci, Albańczycy żyją w ramach organizacja klanowej. Komórką społeczną jest rodzina, rodziny łączą się w klany, z których każdy jest jakby wielką rodziną. Jak większość ludów górskich, Albańczycy są namiętnie przywiązani do wolności; symbolem jej jest strzelba, z którą Albańczyk nie rozstaje się. Albania dostarczyła Turcji sporo mężów stanu i generałów, którzy państwu i sułtanowi wiernie służyli, zachowując jednak w sercu głęboką miłość do ściślejszej swojej ojczyzny i poczucie przynależności do rodzimego klanu.

Fala narodowego uświadomienia, która ogarnęła w XIX w. ludy Bałkanu i wywołała burzę dziejową, która do gruntu zmieniła kartę geograficzną południowo-wschodniej Europy, nie ominęła Albanii. Wojna bałkańska zepchnęła Turcję europejską w Dardanele i ich bezpośrednio zaplecze, usunęła natomiast Portę całkowicie z wschodniego wybrzeża Adriatyku. Z nie dającego się rozstrzygnąć współzawodnictwa o Skutari, Durazzo, Tirane i Walonę — Austrii, Włoch, Serbii i Grecji — powstało samopistne Państwo Albańskie. W trakcie zbrojnych walk spotykamy w tym czasie po stronie Turcji Albańczyków — muzułmanów, lecz także chrześcijan. Przyczyny tego faktu szukać należy w mniejszym niebezpieczeństwie, które groziło albańskim tradycjom i szczepowej odrębności od geograficznie odległego a politycznie słabego Konstantynopola niż od innych ewentualnych zdobywców.

Wojna obecna już po raz drugi wysuwa Albanieć na pierwszy plan widowni. W zimie 1940-41 r. toczyły się w górach Południowej Albanii krwawe walki między armią grecką a włoską zakończone dopiero wielkim generalnym natarciem niemiecko-włoskim, uwieńczonym opanowaniem całego poza Turcją Półwyspu Bałkańskiego. Obecnie prasa węgierska i zagraniczna liczy się w możliwości przerzucenia działań wojennych z wschodniego wybrzeża Włoch na drugą stronę Adriatyku — do Albanii.

## **Siedziba dowództwa bitwy o Atlantyck**

W jednym z portów zachodniego wybrzeża Anglii — jak brzmi ciekawe opowiadanie zaczerpnięte z prasy szwajcarskiej — mieści się obszerne podziemne pomieszczenie o dwupiętrowej wysokości nazwane «Operations Room of Western Approaches Command» czyli «Sala Operacyjna Dowództwa Zachodnich Połączeń». Tu pracuje brytyjski sztab «bitwy o Atlantyck». Wysokie ściany podziemnej izby pokryte są ogromnymi kartami Oceanu Atlantyckiego. Oficerowie królewskiej mary-

narki pracują wspólnie z oficerami RAF, wspomagani przez personel kobiecy pomocniczej służby lotnictwa i foty. Wielobarwne szpilki, chorągiewki i inne znaki są w ciągłym ruchu; oznaczają one konwoje, eskorty, samotnie jadące okręty, patrole, samoloty i — oczywiście także nieprzyjacielskie łodzie podwodne. Drabiny przesuwalne, umieszczone na szynach, pozwalają dziewczętom na wspinanie chorągiewek nawet na dalekiej północy pomieszczonej u samej góry mapy atlantyckiej pokrywającej całą ścianę 7 i pół metrowej wysokości.

Z dużej oszklonej mównicy kieruje oficer służbowy marynarki wraz ze swym kolegą z lotnictwa ruchem chorągiewek i nadzoruje wpływające meldunki o statkach, które przybiły do portów lub wypłynęły na morze. Z dużego okna pomieszczonego nad siedzibą oficera służbowego może dowódca zachodnich połączeń, admirał Max Horton obserwować z nad swego biurka położenie sprzymierzonych i nieprzyjacielskich jednostek morskich na obszarze poddanyj jego władzy. Największe zainteresowanie skupiają oczywiście małe niepokojące czarno-białe owalne znaczki, które podają położenie nieprzyjacielskich łodzi podwodnych. Rozgorączkowanie wzrasta w miarę zbliżania się grupy chorągiewek, przedstawiających konwój i jego eskortę, do owalnego znaczka.

Ruchy okrętów już wykonane jak i zamierzone zaznacza się na karcie kolorowymi nićmi. Inne nici wskazują zasięg lotnictwa komendy wybrzeża. Położenie okrętów sprawdza się i prostuje na mapie co godzinę. Jeżeli np. komenda wybrzeża melduje, że w Zatoce Biskajskiej dojrzano łódź podwodną płynącą w kierunku znanej strefy myśliwskiej łodzi podwodnych, przeprowadza się natychmiast skrupulatne obliczenie jej ruchu na podstawie znanej szybkości jazdy i podaje się następnie wyniki dokonanego rachunku właściwemu dowództwu wybrzeża, które wydaje na tej podstawie zarządzenia. Jeżeli teraz w ich wyniku łódź zaatakowana przez torpedowiec ulegnie zniszczeniu, owal przedstawiający ją na mapie Atlantyku zostaje zdjęty. Jeżeli zatopienie łodzi jest jednak tylko «prawdopodobne», owal pozostaje na oceanie tak długo aż nie będzie pewności co do jej losu. Kiedy staje się rzeczą pewną, że łódź musi powrócić do portu macierzystego celem uzupełnienia paliwa, wpina się chorągiewki kolejno coraz bliżej bazy podwodnej. Samoloty patrolujące czekają wtedy w Zatoce Biskajskiej na pojawienie się łodzi, aby, jeśli warunki pozwolą, zatopić ją.

# ZEGARMISTRZOSTWO W SZWAJCARII

Początki jego sięgają jeszcze średniowiecza, kiedy w większych miastach powstają pierwsze niezgrabne i ciężkie maszyny, poruszające zegary wieżowe. Począwszy od XVI wieku rozpowszechnia się ta sztuka, wyposażając również pomniejszych miast a nawet wsi w zachowane niekiedy po dzień dzisiejszy mniej lub więcej, pomysłowo wykonane, przyrządy do mierzenia i wskazywania czasu. Zapoczątkowane w owym stuleciu udoskonalenia i wynalazki umożliwiają nadawanie zegarom coraz to mniejszych rozmiarów i osiągają w krótkim czasie taką doskonałość, że cały zegar można niebawem utrzymać w ręce, a nawet ukryć go w dłoni. Od tej chwili współcześnie zaliczają wielkie zegary wieżowe do wytworów rzemiosła, podczas gdy małe zegary uchodzą za wytwory — s z t u k i. W sztuce tej, już w XVI wieku przodujące miejsce zajmuje Genewa i stanowisko to utrzymuje po dzień dzisiejszy. Np. w obecnej chwili istnieje tam m. in. pewne przedsiębiorstwo, które zatrudnia około 70 osób i sporządza dziennie zaledwie 15—20 zegarków; ale zegarki te są wykonane w całości ręcznie i stanowią najkosztowniejsze okazy tej sztuki.

Na ogół jednak doba uprzemysłowienia wprowadza i w tym dziale ludzkiej wytwórczości daleko idącą specjalizację. Powstają przedsiębiorstwa, które poprzestają na sporządzeniu tylko tarcz, inne tylko sprężyn, inne robią tylko oprawy zegarków itp. Poszczególne gałęzie tych działów łączą się w związki (trusty), które dążą do rzucenia na rynek możliwie jednolitego towaru, a z drugiej strony nie ustają w pomysłowej pracy nad udoskonaleniem swoich wytworów. Dla przemysłu zegarmistrzowskiego miało to ogromne znaczenie, a oprócz tego stwarzało wielkie udogodnienia dla tej części ludności, która, w chwilach wolnych od zajęć gospodarczych, w długich miesiącach zimowych zwykła była składać zegarki z dostarczonych jej części.

Z chwilą wprowadzenia »specjalizacji«, a więc mniej więcej w latach 60-tych ubiegłego stulecia, zarysowuje się wyraźnie rozgraniczenie między »fabryką« wyrabiającą części składowe, a tzw. »établissage«. Nazwą tą, którą w naszym języku oddalibyśmy najlepiej mianem »zakładów«, zaczęto obejmować przedsiębiorstwa trudniące się składaniem zegarków z części dostarczonych przez fabrykę, bądź też doprowadzaniem do pożądanego stanu doskonałości całego mechanizmu i jego oprawy, dostarczonych w stanie »surowym«. Z tą chwilą sztuka, zegarmistrzowska usuwa się niejako w cień, a rozpoczyna się nowy rozdział, któremu nadajemy miano naradzin p r z e m y s ł u zegarmistrzowskiego.

Obok pojęcia »fabryki« i »zakładów« istnieje jeszcze trzecie w tej dziedzinie ogniwo: »manufacture«. Oto w r. 1867 powstaje w St-Imier przedsiębiorstwo »Longines«, które pod kierownictwem młodego inżyniera, Jacques Davis'a, po pokonaniu licznych trudności zdobywa w końcu niezwykle powodzenie:

zaczyna budować zegarki, które od najmniejszego kółka po tarczę i wskazówkę składają się z części, sporządzonych całkowicie we własnym zakresie. Jest to początek »zegarmistrzostwa mechanicznego« (»horlogerie mécanique«). Rychło znajduje ta nowość licznych naśladowców, a przedsiębiorstwa tego rodzaju otrzymują nazwę »manufacture«. Po polsku określilibyśmy to mianem »wytwórni«. W óbecne, chwili znajduje się na ziemi szwajcarskiej około 50 takich przedsiębiorstw, wśród których do najważniejszych należą: Longines w St-Imier, Zenith w Le Locle, Omega w Bienn e, International Watch Co w Szafhuzie, Tavannes Watch Co w Tavannes, Meyer-Stüden i w Soirze, Pierce w Moutier, Wytwórnia w Langendorf, Patek Philipp i Vacheron et Constantin w Genewie, Ulysse Nardin w Le Locle i Thommen w Waldenburg.

Doskonałość dzieła jest w dużej mierze zależna od właściwości i osobistych zalet człowieka, gdyż nie każdą pracę można powierzyć maszynie, choćby ta była najdoskonalsza. Szczególnie w zegarmistrzostwie istnieje wiele zadań, które wymagają pewnej ręki i wprawnego oka, inteligencji i zamiłowania. Miejscowa ludność, która w wielu okolicach kraju od szeregu pokoleń oddaje się z zamiłowaniem tej pracy, wykazuje jakby dziedziczne nagromadzenie licznych uzdolnień i właściwości, jak najbardziej pod tym względem pożądanym. Przykładem tego są mieszkańcy schludnych wiosek jurajskich, którzy zapewne nie zdawali sobie z tego przed laty sprawy, że ich »dłubanie w zegarkach«, zapoczątkowane w zimowe wieczory blisko 200 lat temu, położy podwaliny pod jeden z najpoważniejszych przemysłów krajowych, który obok maszynowego i chemicznego należy dziś do przodujących pod względem wartości wywozu. Podobnym przykładem są genewscy »gabinotiers«, którzy pracując w rozsianych na poddaszach starego miasta, szczególnie na prawym brzegu Rodanu, »gabinetach«, z dawien dawna słynęli nie tylko jako znakomici, z ojca na syna przekazujący swe doświadczenia znawcy zegarmistrzowskiego kunsztu, ale co więcej swoją bystrością i pielęgnowaniem czystelnictwa i wiedzy przyczynili się w niemałym stopniu do podniesienia oświaty i znaczenia oraz rozkwitu swego rodzinnego miasta. Wśród nich z końcem XVIII w. odnajdujemy z przyjemnością Polaka, którego nazwisko, Patek, jest dobrze znane w historii szwajcarskiego zegarmistrzostwa. Wspomnieć należy, że wśród nich dojrzał umysł młodego J. J. Rousseau, sławnego filozofa i pisarza, którego ojciec również był takim »gabinotier«.

Widzimy, że o ile człowiek urabia dzieło, to nie mniej i dzieło urabia człowieka. I kto wie, czy nie tej właśnie okoliczności — wczesnemu zapoczątkowaniu i rozpowszechnieniu zegarmistrzostwa — zawdzięcza dzisiaj Szwajcaria to, że zdobywa rynki całego świata j a k o s c i ą swoich towarów. (Z)

Roman Sierociński

## Wyspy Szczęśliwe

Są wyspy Towarzystwie, są Dziewicze, Złodziejskie... Lecz na żadnej mapie nie znajdziemy wysp »Szczęśliwych«. Pominięcie tego przymiotnika przy nadawaniu nazw wyspom jest jednak niesłuszne, gdyż wiele wysp Polinezji zasługiwałoby na to miano. Przytoczone zresztą nazwy powstawały zwykle w sposób przypadkowy, gdy wędrujących żeglarzy uderzyła jakaś przypadkowo występująca cecha wyspy lub jej ludności. Ci żądni przygód żeglarze szukali zresztą zaspokojenia swoich upodobań w żegludze po morzach i oceanach a nie w spokojnym życiu na oddalonej od życia zgiełkliwego wyspie.

A jednak znalazł się zwolennik życia tego rodzaju w osobie Holendra nazwiskiem Van Zanten, który około 50 lat temu napisał powieść, zatytułowaną »Szczęśliwe dni«. Treścią jej był pobyt białego na jednej z wysp Polinezji, zagubionej wśród oceanu, nie komunikującej się wcale z pozostałym światem. Bohater tej powieści, przyjęty gościnnie przez mieszkańców wyspy, przyjął zupełnie ich sposób życia i obyczaje dla nieodróżniania się od gospodarzy malując sobie skórę na brunatno. Pojawszy żonę i stworzywszy rodzinę, pędził on tam swoje »szczęśliwe dni« do czasu, gdy straszliwy cyklon zniszczył całe jego szczęście i zmusił do powrotu do cywilizacji, od której uciekł.

Czy życie na wyspach Polinezji jest naprawdę tak szczęśliwe, zobaczymy dalej, ale w każdym razie teren, na którym ono się rozwija, jest dla nas, przyzwyczajonych do dużych przestrzeni lądowych, — wprost dziwaczny. Bo trudno nazwać lądem w pełnym słowa tego znaczeniu obwarzanek o średnicy kilkudziesięciu — szerokości paru lub kilku kilometrów, a wznoszący się zaledwie pojedyncze metry ponad fale oceanu.

Gdy młody Darwin, odbywając w pierwszej połowie ubiegłego wieku swą podróż naokoło świata, zobaczył nikielne pasemka lądu, zaledwie wystające z fal, to, zastanawiając się nad ich genezą, stworzył teorię którą późniejsze badania potwierdziły w całej pełni.

Dla ostatecznego sprawdzenia słuszności tej teorii przeprowadzono wiercenia w wapienno-koralowej masie atollu Funafuti na Marianach, przy czym świder, wierząc do głębokości paru setek metrów, wydobywał cały czas ten sam wapienno-koralowy materiał, z którego zbudowana jest cała część przybrzeżna cokołu atollu i z której wyrasta tak zwana rafa przybrzeżna. Ponieważ w czasie odpływu wynurza się ona z fal morskich, więc można było łatwo zapoznać się z jej budową oraz jej twórcami, którymi są polipy kora'owe, drobne organizmy, żyjące ogromnymi koloniami i budujące z zawartego w wodzie morskiej węgla wapnia całe baśniowe ogrody drzew skamieniałych, a tętniących życiem.

Te misterne budowle o cudownej gamie barw tkwiącymi »korzeniami« w cementaryskach poprzednich

pokoleń, tworzących ich fundament na setki metrów wglęb. Badanie życia polipów koralowych stwierdziło, że nie znoszą one większego zagłębienia niż 20 metrów. Skądże więc wzięły się te warstwy masy, zbudowanej przez żyjące niegdyś korale, grube na setki metrów? Właśnie Darwin w genialny sposób, jak na stan wiedzy w jego czasach, wytłumaczył to zagadnienie trwałym zapadaniem się dna całego Pacyfiku.

Jakiż jest powód pierścieniowatego kształtu atolli? To również tłumaczy jego teoria, jako wynik narastania rafy przybrzeżnej przez tysiące lat ku górze dookoła śródoceanicznego wulkanicznego stożka podmorskiego w miarę jego zapadania się wraz z fundamentem, na którym spoczywa. Wreszcie cały stożek, zanurzając się w bardzo powolnym tempie, zginął pod falami, a skrętne polipy, budując swe kolonie na obumarłych wskutek zbyt już wielkiego zanurzenia poprzedników, wyprowadziły na powierzchnię dziwny pas ani lądu, ani wody, który bijące fale i wiatr wykształciły swą modelującą pracą na ląd, wystający z fal. Na miejscu dawnego szczytu wulkanicznego powstaje obecnie t. zw. laguna, wewnętrzne jezioro spokojnej i mniej lub więcej płytkiej wody. Plaża tego lądu na którą bez przerwy wtaczają się fale morskie, zbudowana jest z piasku, powstałego w miocie fal z rozartych szczątków koralowca. Gdy tę oslepiająco-białą plażę ozdobimy charakterystycznymi sylwetkami pochylonych pioropuszy palm kokosowych i tulącymi się pod nimi chatami z liści palmowych, to tło dla filmu egzotycznego będzie gotowe.

Amerykański kapitan Slocum, który pierwszy rozpoczął swą samotną podróż naokoło świata na wątlej żaglówece, opowiada jak zarzucił kotwicę w odległości kilkuset metrów od plaży jednej z wysp Polinezji. W czasie czynności, związanych z zakotwiczeniem łodzi, spostrzegł trzy brunatne postacie, rzucające się w fale, a po pewnym czasie wylądowały na jego stateczku trzy młode dziewczyny o charakterystycznych kędzierzawych fryzurach, ubranych kwiatami, aby go powitać, jako gościa wyspy i również uwienczyć kwiatami. O ile odwiedziny tego rodzaju miały z początku pewnego rodzaju atrakcyjność, to po tym stały się naprzykrzonymi, na co skarżą się samotni żeglarze Polinezji. Ze względu jednak na zdecydowaną pokojowość zamiarów nie można było zastosować przeciw nieproszonym gościom sposobu, który pozwolił Slocumowi spokojnie spędzać noce w cieśninie Magellana wobec wojowniczo i napastliwie usposobionych Indian. Dowcipnym tym sposobem było posypanie pokładu w pobliżu wejścia kajuty pluskiewkami ostrzem do góry.

Inny znony samotny żeglarz opowiada, jak czynił zakupy na dalszą podróż w miejscowym sklepie przystani jednej z wysp. Wchodzący do sklepu krajowcy dołączali do zakupów swoje dary, od których wprost nie mógł się opędzić. Wystarczyło tylko, żeby wyraził odpowiednie życzenie, a łódź jego była wprost wypełniona różnymi owocami wyspy.

. Na oddalanej od szlaków okrętowych wysepce przy bycie białego żeglarza stanowi zdarzenie nielada. Wita go król wyspy i zaprasza na tradycyjną ucztę, połączoną z igrzyskami i tańcami. Do wykopanego zagłębienia w piasku wkłada się mięso, ryby, owoce... wszystko zawinięte w liście palm, poczym po zasypaniu piaskiem rozpala się na tym miejscu ognisko, które jest podsycane przez parę godzin. Wszyscy biali uczestnicy tych uczt zachwycają się przedziwnym smakiem przyrządzonych w ten sposób potraw.

Gdy przybyli na wyspy Polinezji Europejczycy wraz ze swym kultem pracy i chęcią zysku, to znaleźli się w trudnej sytuacji wobec braku chętnych do roboty i zarobków, wobec czego musieli na większe wyspy sprowadzić do pracy Chińczyków i Hindusów. Polinezyjczyk — to dziecko natury. Żyje z tego, co ona mu daje hojną ręką i nie ma żadnych wymagań. Trzeba przyznać, że natura atollu polinezyjskich rozpieszcza człowieka. Jak ogromny kontrast jest z niesłychanie twardym zmaganiem się o życie innego dziecka natury, jakie na dalekiej, niegościnniej północy pędzi Eskimos wśród pół roku niemal trwającej nocy, strasznych zawiści śnieżnych i głodów zimowych, gdy człowiek zjada nawet rzemienie.

Rzeczywiście, hojność natury polinezyjskiej jest gdzie indziej nie spotykana. Temperatura przez cały rok około 25 stopni, morze aż kipi od ryb najwyszukiwanych gatunków i innych jadalnych zwierząt morskich; kokos, dając mleko, poszukiwaną kopre, liście i włókno, stanowi podstawę życia polinezyjczyka. Dopełniają to inne rośliny z drzewem chlebowym na czele, a także hodowane świny i kury. Ubranie i solidniejsze mieszkanie są zbyteczne. Życie na atollu polinezyjskim biegnie beztrudnie i przypomina wywczas w namiocie na plaży nadmorskiej.

Brak potrzeby pracy wytężonej o zgitym karku, tak zwykłej u naszego rolnika i otoczenie przez łagodną i piękną naturę wytworzyło u Polinezyjczyka łagodność i poczucie piękna, które wyraża się w umiłowaniu muzyki, tańca, śpiewu, wieńczeniu się kwiatami nie tylko przez kobiety ale i mężczyźni.

Ten idealny obraz życia krajowca Polinezji może można jeszcze spotkać na oddalonych od szlaków okrętowych wyspach. Jakże smutny natomiast obraz przedstawia życie kra owców w ruchliwszych portach, gdzie Polinezyjczyk, stykając się z najgorszymi objawami naszej cywilizacji, jak alkoholizm, wyzysk, choroby, uległ im w znacznym stopniu. Jak bardzo ten czysto utylitarny stosunek pozbawionych skrupułów europejczyków odbiega od charakteru szlachetnej opieki jakby starszego i silniejszego nad młodszym i słabszym jaki posiada staranna dbałość ludów skandynawskich o życie i losy Eskimosów i Górcy! Dbałość o odgrozdzenie tych ludów od ujemnych wpływów naszej cywilizacji jest posunięta tak daleko, że np. wylądowanie na Grenlandji białego jest nadzwyczaj utrudnione i nawet badacz naukowy musi odbyć długotrwałą kwarrantanę, a wóz alkoholu jest zakazany.

Stanisław Szarek

## ZRĘKOWINY

Już noc zapadła kiedy wyszedłem ze wsi na zroszoną pola. Przed moimi oczyma majaczyła ciemna grupka ludzi, posuwająca się szybko naprzód. Po pewnej chwili znikli w kępie wysokich drzew i nastała cisza.

Jeszcze nie dotarłem do celu, gdy po rosie wieczornej rozchodziła się smętna melodia muzyki.

Pod oknem na przedzie stał uchodźca Janek młodzieniec dwudziesto do latni średniego wzrostu, ciągle z uśmiechem na ustach, pracujący za trzech, a swoją gwarą śpiewną rozweselał nas wszystkich. Za nim grupka grających muzyków. Podczas trzeciej melodii w ciemnościach okna zabłysły światłem. (Patycze i zapałki, trzymany pionowo — jak pochodnia — a palący się do końca oznacza wierną miłość). W blasku a nych promieni, twarz Janka przybierała coraz to inne kolory, Dostrzegł mnie, a ocierając pot z czoła powtarzał dźwięcznym głosem.

— Ona i ja, — razem te aż już jest moja.

— Janko! Jeszcze nie rozmawiałeś ani z nią ani z rodzicami jej, — pytam zaskoczony.

— A po co rozmawiać, gdy zapałkę własnymi rękoma zaświeciła. Zapałka mi wszystko i za wszystkich powiedziała. Gdyby nie to światło zapałki nie byłoby nic z tego i odszedłbym bez słowa.

W tym czasie w mieszkaniu się rozjaśniło a naszczona Janka podeszła do niego oddając mu uroczyście pocałunek i poprowadziła nas do mieszkania. Oświetlenie ubrani domownicy siedzą na miejscach przy stole a ojciec narzeczonej wyznacza miejsce gościom na około stołu, na którym stoi wino, kołacz i ciasta różnego gatunku.

— A chodźcie tu prędzej niech was uściskam, bo ogromnie jestem rada z was.

Babcia narzeczonej, staruszka po osiemdziesiątce, średniego wzrostu, zbielutkami jak mleko włosami, prosta jeszcze jak świeca grozi podniesioną wyschlą pięścią i woła.

— A co wy psiawiary cygańskie, nie zagracie to?

Wino zaczyna w głowie szumieć a ojcowie z przyszłym zięciem przystępują do umowy. Ponieważ obie strony mają to co na sobie (rodzice narzeczonej są ordynarii w folwarku) akt umowy poszedł gładko jak po mydle. Stało na tym, że narzeczonej wyjedzie na pewien okres do pracy, a narzeczonego wypożyczy garnitur ślubny w odpowiednim składzie. Gdy gdzieś czas, nowożeńcy wyjadą do Polski na dwumorgową gospodarke.

— No dosyć! Mają zdrowe ręce to im wystarczy. Ja też miałem tylko te dziesięć palców, a wszystkich was wychowałam. A teraz na odmianę zaśpiewam wam po polsku — krzyczy rozbawiona babcia.

Stając na środku izby, chwytając się za boki robiąc pół obrotu — raz w lewo — raz w prawo — a poły spodnicę wiewają od ściany do ściany i babcia śpiewa

»W Krakowie na sali.

N... tańcowali.

Polak wąsem ruszył.

Wszyscy uciekali.«

O tak! Ja byłam w tym czasie w Krakowie... Dobre to były czasy, przepraszam, a nie tyle czasy ile ludzie. Dobrze n i tam było. Taki ten lud dobry, a taki nieszczęśliwy. Teraz gdy go tak wielka krzywda spotkała, nie jedną ja łzę uroniłam. Prędzej czy później koniec będzie, zaświeci słoneczko, a moja wnuczka dobre się będzie miała... Będą ją szanować a w potrzebie zawsze pomogą, bo ten lud biednymi nie gardzi — o nie!

— A babcia dlaczego tu wróciła, czując się tam tak dobrze? — pytam.

— Do swoich, do swoich, mój panie! Jest taka

utajona w człowieku siła. Ciemna siła nie zbadana. Nikt nie wie skąd się to bierze, dlaczego w końcu musi przyjść? Silniejsza jest po nad wszystko! Jakimikolwiek drogami człowiek idzie, jakimi światami wędruje, pod jaki łachman czy jedwab grzbiet swój skryje — odnajdzie go. Wraca choć nikogo tu nie ma, nie prócz nędzy dawnych lat nie zostawił — do swoich, do swoich — szepce.

Po śmierci męża nie miałam ani chwili spokoju. Do brzy ludzie przygarnęli do siebie i pocieszali, a a nic tylko do swoich. Wszystko stało mi się obece dalekie. Błądziłam całymi dniami, aby spotkać swego, usłyszeć głos swój — i nic dziwnego. Nawet ten, co ziemi swojej nie ma, o cojczyzny swojej nie ma — ją w sercu i wierze swojej nosi.

## Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU OBYWATELSKIEGO

Z uwagi na radykalne pogarszanie się stosunków na rynku materiałów odzieżowych Komitet Obywatelski czyni wszelkie wysiłki, by zaopatrzyć uchodźców w odzież, bieliznę i obuwie. Potrzeby uchodźców w tej dziedzinie znacznie wzrastają; z jednej strony bowiem po czterech latach pobytu na obczyźnie, ludzie wydzierają się z ubrania coraz bardziej — z drugiej zaś strony trzeba zaopatrywać szereg przybysów nowych i zaopatrywać od stóp do głów. Mimo ogromnych potrzeb odzieżowych w obozach cywilnych, które Komitet stara się możliwie najwydatniej zaspokoić, nie zapomina również Komitet o obozach wojskowych.

W ostatnich miesiącach pomoc Komitetu Obywatelskiego dla uchodźców wojskowych wyraziła się w następujących cyfrach:

1. gotówką w formie subwencji na zakup odzieży dla uchodźców wojskowych wypłacono Przedstawicielstwu Wojska Polskiego kwotę 100.000 pengó.

2. W naturze dostarczono żołnierzom internowanym

a) 100 ubrań wartości 15.000 pengó.

b) 100 spodni roboczych wartości 4.000 pengó.

c) 500 koszul wartości 1.800 pengó.

Ponadto Komitet Obywatelski przydzielił znaczne ilości odzieży dla kobiet i dzieci w obozach wojskowych, a mianowicie:

a) 660 metrów na odzież damską wartości 20.000 pengó.

b) 290 sztuk bielizny damskiej wartości 8.700 pengó.

W toku jest dostarczenie obozom wojskowym: 140 par obuwia damskiego wartości 7.000 pengó; 40 par obuwia dzieciennego wartości 1.600 pengó. Zaznacza się, że podane wyżej wartości nie odpowiadają już bliżej w żadnym wypadku rzeczywistości

ze względu na wzrastającą drożyznę. Pomoc ta przedstawia bardzo duży wysiłek finansowy Komitetu, jeśli się zważy wielką rozpiętość bieżących potrzeb uchodźczych, które trzeba stale zaspakajać

## KOMUNIKAT

Komitet Obywatelski otrzymał z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zawiadomienie, że starania Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech o podwyżkę strawnego zostały uwzględnione.

Nowe stawki będą następujące:

1. lista ministerialna	7 P.
2. samotni	5 P.
3. pełne rodziny: ojciec	5 P.
matka	4 P.
wszystkie dzieci po	3 P.
4. rodziny niekompletne:	
głowa rodziny	5 P.
pierwsze dziecko	4 P.
dalsze dzieci po	3 P.

Zasiłki dla młodzieży uczącej się będą osobno uregulowane.

Pierwsze starania wszczął Komitet Obywatelski w czerwcu b. r. stawiając wniosek o 50% podwyżkę, a następnie na skutek wzrostu drożyzny o 100%, lecz wniosek ten został częściowo tylko uwzględniony.

Równocześnie z wnioskiem o podwyżkę zasiłku dla uchodźców cywilnych, Komitet Obywatelski skierował wniosek do odpowiednich władz o podwyżkę strawnego dla wojska.

# Okólnik

w sprawie działalności oświatowo-kulturalnej w obozach

1. W związku z nadchodzącym okresem zimowym, w którym świetlice obozowe winny wykazać jak najżywszą działalność, stwarzając dla uchodźców nie tylko zastępcze ognisko domowe i ośrodek wymiany myśli, poglądów i wzajemnego zżywania się ale też i ognisko działalności kulturalno-oświatowej, Komitet Obywatelski zwraca się do Panów Starszych Obozów, by wraz z Komisjami Kulturalno Oświatowymi opracowali program prac na okres zimowy, uzależniony od możliwości danego obozu i przesłali go do Komitetu najpóźniej do dnia I. XI. 1943. r.

Program ten winien być o ile możliwości urozmaicony, dostosowany do poziomu umysłowego członków obozu i ich potrzeb na przyszłość, oparty na realnych możliwościach tak w zakresie pomocy naukowych do jego realizowania, jak i materiału ludzkiego (wykładowcy i referenci). Czteroletni pobyt na uchodźstwie w środowisku obcym, ciągle nastawienie na troski i kłopoty dnia powszedniego, brak normalnego zajęcia lub praca zarobkowa w innej zupełnie dziedzinie, życie poza nawiasem organizmu państwowego, samorządowego i kulturalnego, brak urządzeń normalnych państwowospołecznych wytworzyły pewnego rodzaju zanik poczucia odpowiedzialności w zakresie wielu zagadnień społeczno-moralnych oraz brak zainteresowania istotnymi zagadnieniami ustrojowymi i gospodarczymi

Komitet Obywatelski żywi nadzieję, że zbliża się czas, w którym każda, wyćwiczona ręka przygotowany umysł świadomy przede wszystkim swych obowiązków względem całokształtu spraw państwowo-społecznych, a później swych praw będzie cennym ogniwem całości. W programie prac świetlicowych prócz kursów językowych, prac ręcznych, samo chodowych, księgowości i. t. p. winno znaleźć się miejsce na pogadanki — czy cykle wykładów, omawiających zagadnienia ustrojowe i gospodarcze w historycznym ich rozwoju i stanie obecnym. Należy też uwzględnić w odpowiedniej formie historię Polski i Węgier i ich geografie gospodarczą.

2. Wobec trudności związanych z zaopatrzeniem świetlic w opał należy przedłożyć zapotrzebowanie wraz z kalkulacją i wniosek z wyszczególnieniem wysokości subwencji na opał na cały okres zimowy. Opał należy zakupić o ile możliwości w całości i rozliczenie wraz z oryginalnymi rachunkami przesłać do Komitetu Obywatelskiego. Termin zgłaszania upływa z dniem 15.11.43.

3. W związku z punktem 1-szym w celu ułatwienia prac na terenie świetlic Komitet Obywatelski ogłasza konkurs na niżej wymienione prace z tym iż prace

najlepsze będą nagrodzone i w formie broszur rozesyłane do świetlic obozowych jako pomoce naukowe.

- |  |                          |   |   |
|--|--------------------------|---|---|
| 1. Konstytucja i zagadnienia ustrojowe Polski          | (do 20 str. maszynopisu) |   |   |
| 2. Zagadnienia administracyjne i samorządowe           | » 25                     | » | » |
| 3. Szkolnictwo   | » 20                     | » | » |
| 4. Zagadnienia gospodarcze                             |                          |   |   |
| a) rolnictwo   |                          |   |   |
| b) przemysł  |                          |   |   |
| c) handel  |                          |   |   |
| d) komunikacja   | » 40                     | » | » |
| 5. Życie kulturalne                                    | » 25                     | » | » |
| 6. Ubezpieczenia społeczne                             | » 15                     | » | » |
| 7. Sądownictwo   | » 15                     | » | » |
| 8. Spółdzielczość                                      | » 20                     | » | » |
| 9. Zagadnienia geopolityczne i stosunki międzynarodowe | » 30                     | » | » |

Prace ujęte w skrócie i dostępne winny charakteryzować poszczególne zagadnienia w rysie historycznym na tle międzynarodowej rzeczywistości i dawać materiał rzeczowy do cyklu pogadek, czy referatów o Polsce.

Termin składania prac upływa z dniem 15. XI. 1943. r.

Nagroda za najlepszą pracę z każdej dziedziny wynosi 50 P. (pięćdziesiąt pengő.).

Prezes Komitetu Obywatelskiego

HENRYK SŁAWIK

Przypominamy, że prenu nerata »Tygodnika Polskiego« wynosi miesięcznie 1.20 pengő, kwartalnie 3.60 pengő.

Wpłaty można wносить na adres Komitetu Obywatelskiego, Budapest V., Géza-utca 3. I. 2.

»Tygodnik Polski-Materiały Obozowe« wydawnictwo kulturalno-oświatowe Komitetu Obywatelskiego Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech Budapest, V., Géza-utca 3.

Za wydawnictwo i redakcję odpowiada JENŐ KAJTÁR.

Przedpłata miesięczna 1.20 P kwartalna 3.60 P.

Przedpłatę należy wpłacać przekazem pocztowym na adres Komitetu Obywatelskiego Géza-utca 3.

W sprawach redakcyjnych i administracyjnych należy zgłaszać się pod adresem: Budapest V., Alkotmány-utca 31. III. em. II. telefon: 12-55-20.

436325 — Drukarnia artystyczno-literacka, Athenaeum S. A. pod dykcją: Antal Kárpáti.